

Zdarzenia w czasie

(Dokończenie ze strony 17)

rozkwitającej w spojrzaniach, zrobionych zakupach, delikatnych muśnięciach i rozmowach przy stole, bo w wierszu *Nie rdzewieje* podglądałam bezwstydnie tych dwoje

*Coraz bardziej mamy tylko siebie,
byle tylko nam ta miłość nie osłabia.
Trochę inna, jak ze starej piosenki.*

Był sobie sentymentalny dziad i pogodna baba.

Utwory posiadają moc, która niesie na skrzydłach nowe uczucia. Dlatego *Ciągłe zielona* wciąż do nas *Mówi szeptem*, niemal krzyżąc, że

*Późna miłość...
Miłość nigdy nie spóźniona.*

Coraz bardziej mam wrażenie, że para przedstawiona w wierszu *Kontakt* jest nierozłączna, jakby mężczyzna i kobieta stali się jednością. Czas, który upłynął rozporządzał ich losami. Spędzili chwilę ze sobą, potem doznali rozłąki, która wbrew pozorom czasami zbliża ludzi. To sztuka być z kimś i jednocześnie darować wolność sobie nawzajem –

*ja zrobię ci kawę.
Tylko nogi z daleka.
Znak wolności niezbędnej, która mówi –
Razem, bo tak chcemy.*

Żyjemy w nieskończoności i wieczności, wymyśliłiśmy czas i jego podział, obwieściliśmy, że czas płynie, by odnieść się do ciągłych zmian w naszym życiu. Mimo to, potrafimy zachwycać się pięknem świata i życia, akceptować je takimi, jakimi są. Niekiedy szczęśliwie uznajemy, że czas jest łaskawy, pozwala pamięci zatrzeć niektóre, zwłaszcza te nieprzyjemne, sprawy. Chcę jednak zaufać Platonowi, który twierdził, że czas jest ruchomym obrazem wieczności, zamkniętym w kole. Zatem nie mamy większego wpływu na powroty do tego dobra, które miało miejsce w przeszłości. To się niektórym szczęśliwie zdarza. Tak po prostu.

Randka

*Patrzmy sobie w oczy,
nieważne, że spłowią.
We włosy przerwane
łatwiej się wsuwa dłoń.
Kto nie całował zmarszczek,
nie wie, co to pieszczota,
Cóż stąd, że tajski masaż
już tylko dla zimnych stóp.
Patrzmy sobie w serca,
Tam ciągle jasna krew.*

Alicja M. Kubiak

Tamta jesień

*Pamięci Bruno Schulza
w 130. rocznicę urodzin*

Przed mój trybunał świadomości ustawicznie przywoływany jest szczególnie, jesienny fresk. Ojca nie ma. W delegacji, w odległej krainie ujarzma smoka i żmudnie drąży uparte połączenie ugorów. Matka krząta się w kuchni. Siostry od zawsze nieobecne, szybują zalotnie po dorosłym niebie. Mam dziesięć lat. Odkładam Apokryf, nieudolny Falsyfikat i wyruszam z bezpiecznej ciepłoty siedliska. Podwórko z wolna obrasta bluszczem zmiernym. Z ziemistych porów sączy się wilgotny, korzenny fluid głębi. Tego, co pod, co magnetyzuje i urzeka czarowną księżniczką tajemnic. Tylko się zacytać. Tylko dać się pociągnąć nieśmiałym witkom podziemnych sylw przeszłości. Spocząć w zacienionych jarach odwiecznych dysertacji.

Szedłem poruszony melancholijną zapowiedzią nocnych widziadeł, kiedy głodne gwiazdy drążyły przestrzenie. W tamtych dniach rozciągający się wzdłuż jeziora park spowijała osnowa mitotwórczej aury. Wieczorami, w nasyczone blaskiem drzewa, wstępował średniowieczny zaświat bywalców uroczysk. Z czeluści ukorzenionych ciał snuła się powieść. Jej rozliczne interpretacje zapisane na równych liściach, bezwładnie opadały z gałęznych kończyn w rozproszenie. Próżno grzebałem w butwiejących, w owym czasie niegrabionych stosach manuskryptów. Pochłonięty lekturą, przytłoczony nadmiarem nieprzebranych, pokawałkowanych akapitów, szybko gubiłem wątek i meritum. Jednak ta mnogość treści nie zniechęcała, wręcz przeciwnie – budziła do jakiejś sensualnej ekscytacji. Rozpalała namiętną chęć zbierania rozpryskanych iskier. Oddania się niekończącej egzegezie poruszeń serca.

W tej peregrynacji przez meandry zarośli, matryce łyka, marginalia przelatujących muszek, nawiasy załamania światła, wciąż rozszerzały się nowe perspektywy sentymentalnych nawarstwień. Zawładnęły mną ostatecznie i żywcem. Oszołomiły paletą metafor emanujących z podprogowych źródeł.

Podniosłem głowę. Chmury kruków, gawronów i kawek wypełniały przestrzeń mroczną konfiguracją emocji. Dobywane z pierzastych ciał gardłowe dźwięki, niosły wystudiowane w gniazdach elementy nowel. Byłem przekonany, że ta pozornie chaotyczna kakofonia kryje w sobie inauguracyjny pogłos prapłaka. Przesłanie dziwnie bliskie, znajome... zasłyszane jakąś częścią mnie w archetypicznym maticzniku. Teraz namacalne, wydobywane spod podszewki literalnego świata.

Do pewnej chwili opustoszałe, powykrecane ławki, zasiedliły mgławicowe kreacje antycznych wcieleń. Nie tęskniące za ciałem. Wierne mistycznej zadumie nad Oryginałem, nad przepastnym foliatem Autentyku. Nieśmiało przysiadłem obok. Czym jednak było moje, dopiero budzące się do świadomości istnienie, wobec ogromu formy zalegającej w pokładach ponadempirycznej rzeczywistości?

Mogłem tylko obserwować jak na ułamek sekundy, uchylają się magazyny z arkuszami zapisków anachronicznych i zaniechanych herezji. Za plecami czułem napierający oddech wilgotnych drzew. Ich opatulone mgłą postury z rozpaczerzonymi konarami szumiały zanotowanym w słojach minorowym chorałem. Wieczność penetrowała chaszczę, zagłębiała pod każdy liść, przepatrywała splekania kory, śledziła zapobiegliwą marszrutę owadów. Tymczasem jezioro rzewnie poplukiwało niczym małe dziecko samotne pod kołdrą bezkresnej nocy. O brzecz, niesione na ciekłych wybrzuszeniach, monotonna obijały się utracone gałęzie niegdyś pochopnie błogosławiące słoneczną luminację. Gdzieś tam wodne ptactwo nostalgicznie kwiliło nad pustką wypłukanych i wyziębionych gniazd. Wtórowały im rozszepcane klany oczeretów mierzwiłone niewidzialnym podmuchem dziejów. Powietrze buzowało aromatem wodorostów, tudzież gnijnym rozkładem zapowiedzi nowych światów. Zapach plennej grzybni przywodził na myśl zawilgocone woluminy zalegające w archiwum anamnezy.

Co istniało – istnieje! Co ma zaistnieć, już przypomina o sobie w tym bezodpływowym i bezodpływowym akwenu wszechbytu! Wszelkie odrosty, konstrukcje i założenia przenikają się, nawracają do gremialnego chóru rzeczy, by znów dokwitnąć do przekwitnienia.

Najbardziej poruszało doświadczenie bliżej nieokreślonej OBECNOŚCI – przyjaznej i bezpiecznej. Podpatrującej zza węgła czwartego wymiaru. Prawie dotykanej, irracjonalnie świadomej mojego z nią obcowania, a zarazem obojętnej na niedyskretne indagacje. Widmowa faktyczność egzystując samodzielnie, nie wabiła, ale i nie wzbraniała wstąpić w twórczy, fermentujący labirynt. Czułem więc... a to skutkowało pewnością rosnącą jak katedra. Hipnotyzowało do ostatecznego zapomnienia się w zaroślach metafor. Do zatopienia w geografii introwertycznej wyobraźni.

Instynktownie podążyłem za krawędź widzialnego świata. Szedłem, pławiąc się w wieloświatu, w wielodrzewiu rozmiętanym na wielolistną konstelację spadających preasumpcji. Na peryferiach park z wolna przeobrażał się w nieoswojony las. Gęsty od gawęd, dramatów i rozczarowań. Duchy nobliwych buków przechodziły przeze mnie. Defilowały widma wyłuskane ze zbiornicy niezrealizowanych projektów. Rozrastały się regiony chruścianego kosmosu.

Stąpałem po drodze znaczonej korzennymi żyłami, nabrzmiałymi od wysiłku twórczej jaźni uniwersum. Po drodze przyjaznej moim dziesięcioletnim stopom, wijącej się niczym wstążeczka wieńcząca warkocz rudowłosej koleżanki z klasy, za który tak bardzo lubiłem ciągnąć.

Tamta jesień! Punkt odniesienia odżywający pajęczą nitką we wszytkich następnych! Ostatnie westchnienie przed spojrzaniem w wypłakane czarne dziuple oczodoły. Zabrałem ją ze sobą. Kontemplowałem nawet wtedy (a stwierdzam to z przerażeniem), kiedy dałem się zwieść rozwidłonym w różnych kierunkach odnogom ścieżek – prowa-